

Chińska cena

Na początku lat 90. w Chinach ekstrakcja enzymów z moczu była już w całości sprywatyzowana, podobnie jak i inne sektory chińskiej gospodarki. Kiedy państwo przestało utrudniać życie prywatnym przedsiębiorcom, coraz więcej ludzi szukało możliwości działania – jakiegokolwiek działania przynoszącego pieniądze. „Książkowy Idiota” Zhou nagle zorientował się, że ma silną konkurencję starającą się o dostęp do miejskich zasobów uryny.

W Pekinie nie szło mu najlepiej – wciąż prześladował go pech. Kadzie w jego fabryczce regularnie przepęniały się i zalewały okoliczne domy potokami zatęchłego moczu. Któregoś lata smród z zakładu był tak silny, że mieszkający w pobliżu rolnicy musieli uciekać z domów, a Zhou spędził wiele godzin na czyszczeniu ich podłóg. Na jego terytorium coraz częściej wkraczała konkurencja wynajmująca bandy osiłków, którzy bili jego zbieraczy i kradli im kadzie z surowcem. Nie tak wyobrażał sobie życie człowieka z wyższym wykształceniem prowadzącego własną firmę...

Firma Zhou – podobnie zresztą jak interes rozdającego na prawo i lewo łapówki Szefa Liu – była doskonałą ilustracją chińskiej kultury i szybko rozwijającej się gospodarki działającej na zasadzie „wszystkie chwytaki dozwolone”. Im lepiej Zhou poznawał reguły tej gry, tym bardziej był załamany. Na początku w produkcję enzymów z moczu zaangażowani byli między innymi inwestorzy z Tajwanu i Japonii – później wszyscy wycofali się, zniechęceni poziomem korupcji i przemocy.

Ostra konkurencja w połączeniu z brakiem jasnych reguł sprawiła, że ceny produkowanych enzymów dramatycznie spadły. Podobnie wyglądały inne gałęzie gospodarki w całych Chinach. W Europie i Ameryce politycy i ekonomiści martwili się kierunkiem rozwoju gospodarczego Chin, postrzeganych jako niepowstrzymana,

niszczycielska siła nieustannie zwiększająca produkcję i obniżająca jej koszty, żeby móc proponować niewzycięzoną „chińską cenę”. Jednak Zhou i tysiące jemu podobnych z przerażeniem patrzyli na coraz mniejszy margines ruchu i walczyli – często dosłownie – o każdy plasterek kurczącego się rynku. „Chińska cena” utrudniała życie Zachodowi – ale niszczyła także samych Chińczyków.

Po semestrze dodatkowych studiów na Uniwersytecie Pekińskim w 1992 roku Zhou nadal prowadził swój zakład w stolicy. Dojeżdżał do Pekinu z Bengbu, gdzie także działała jego fabryczka. W czasie obchodów chińskiego Nowego Roku, wiosną 1995 roku, Zhou przywiózł z Bengbu do zakładów farmaceutycznych w Kantonie prawie pięćdziesiąt kilogramów gotowych enzymów, a później czekał w jakimś nędznym hoteliku na swoje pieniądze. Następnego dnia dyrektor zakładów wezwał go do siebie.

– Proszę spojrzeć – powiedział, otwierając pudełko, w którym Zhou przywiózł enzymy. – Są czerwone. Do niczego się nie nadają.

Potem zapytał Zhou, czy jego robotnicy w Bengbu używają nowych urządzeń.

– Nie – odparł „Książkowy Idiota”. – Używają tych samych kadzi z nierdzewnej stali i plastikowych rur, co zawsze.

– No cóż – odparł dyrektor. – Co by nie było, coś jest nie tak. Produkt jest skażony.

Zhou zabrał próbkę do Nankinu, gdzie zbadano ją w uniwersyteckim laboratorium. Okazało się, że enzymy rzeczywiście zawierały zanieczyszczenia – metale ciężkie. Ale skąd metale ciężkie znalazły się w moczu prostych mieszkańców Bengbu?

因

Bengbu to brudne, przemysłowe miasto położone nad Huai He, trzecią co do długości – i najbardziej zanieczyszczoną – rzeką Chin, mającą około tysiąca kilometrów długości i przepływającą przez pięć prowincji. W latach 90., kiedy władze lokalne wspierały powstawanie „przedsiębiorstw miejsko-wiejskich”, miejscowości leżące nad Huai He szybko przekształcały się z sennych rolniczych osad w tętniące życiem ośrodki przemysłowe. Papiernie, cementownie i zakłady chemiczne wyrastały jak grzyby po deszczu.

Wraz z uprzemysłowieniem pojawiły się zanieczyszczenia. Nic dziwnego – całe Chiny przeżywały w tym czasie okres poważnej degradacji środowiska naturalnego, 190 milionów ludzi w całym kraju piło wodę tak skażoną, że wywoływała choroby. Jednak nawet na tle tych bardzo niskich standardów stan rzeki Huai był po prostu straszny. Do rzeki wyciekały zanieczyszczenia z najróżniejszych fabryk i zakładów, czyniąc z niej cuchnący, gnijący ściek. Powierzchnię wody pokrywała brudna, brązowa piana – obrzydliwa mieszanka śmieci, ścieków, nieprzerobionych odpadów – której połacie rozciągały się często na sto kilometrów i osiągały miejscami dwa metry grubości. Okoliczni mieszkańcy nosili na twarzach maski lub mokre ręczniki, aby choć trochę filtrować wdychane powietrze i uniknąć wymiotów. Zatruta woda czyniła takie spustoszenia w organizmach osób mieszkających nad rzeką, że Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza przestała prowadzić pobór w Bengbu, uznając jego mieszkańców za niezdolnych do służby wojskowej.

W 1996 roku prymitywny system filtrowania wody w Bengbu przestał funkcjonować. Całymi tygodniami pół miliona ludzi obserwowało płynącą z kranów czarną, cuchnącą ciecz. Władze postanowiły nie informować mieszkańców o potencjalnym zagrożeniu dla zdrowia, toteż państwowe gazety nie zamieszczały żadnych informacji o skażeniach. Ale zawartości szkodliwych pierwiastków i związków w moczu nie dało się ukryć...

Kiedy informacja o skażeniu wody przedostała się w końcu na zewnątrz – błyskawicznie rozpowszechniona przez niezwykle skuteczny chiński system przekazywania plotek – do miasta natychmiast zjechały chmary drobnych kupców, chcąc szybko zarobić na sprzedaży butelkowanej wody. W mieście pojawiła się grupa urzędników z Pekinu, którzy obiecali mieszkańcom, że rzeka zostanie oczyszczona w ciągu czterech lat. 1 stycznia 1997 roku przedstawiciele władz zamknęli setki papierni, cementowni i zakładów chemicznych. Zrobili to w podręcznikowym, komunistycznym stylu, metodą nakazowo-rozdzielczą. Jednak w ciągu kolejnych dwóch lat 40% spośród tych zakładów zostało ponownie otwartych. W 2004 roku, kiedy płynąłem Huai He w towarzystwie Zhou, działały już wszystkie, oczywiście bez żadnego systemu kontroli zanieczyszczeń. Co więcej, z powodu nieustannych braków energii elektrycznej władze lokalne

zamknęły wiele oczyszczalni ścieków i płuczek wieżowych do oczyszczania dymów z kominów. W lipcu 2004 roku rzekę znowu pokrywał rozciągający się na sto kilometrów dywan trującej piany. Zginęły miliony ryb i innych zwierząt, obumierały rośliny. Aby chronić swoją produkcję, Zhou musiał zainstalować w zakładzie w Bengbu specjalne filtry oczyszczające urynę przed rozpoczęciem jej obróbki.

因

W 1998 roku Zhou musiał zrezygnować z prowadzenia zakładu w Pekinie. Sekretarz partii, który kiedyś podpisał z nim umowę dzierżawy, stracił stanowisko z powodu złamania „zasady jednego dziecka”. Nowy sekretarz w zamian za umożliwienie dalszego działania zakładu żądał łapówki. Kiedy Zhou odmówił, miasto odcięło mu prąd i wodę, a sekretarz na jego oczach podarł i wyrzucił umowę. Dał Zhou dziesięć dni na spakowanie się i opuszczenie zakładu – inaczej, jak powiedział, zajmą się nim miejscowi bandyci. Zhou pogodził się ze stratą tysiąca dolarów i wyniósł się ze stolicy na dobre.

Jego kolejny ruch polegał na rozszerzeniu działalności na prowincje Hunan, Szantung i Hebei. Ale wraz z rozwojem firmy rosła także konkurencja, która próbowała go wykończyć, używając wciąż tej samej taktyki: kombinacji przemocy, podstępu i przekupstwa.

Szef lokalnego wydziału sanitarnego w pewnym mieście w prowincji Anhui przez całe lata siedział u Zhou w kieszeni – do dnia, w którym zjawiała się u niego konkurencja i zaproponowała mu wyższą łapówkę. Tym razem Zhou wygrał licytację – zaproponował urzędnikowi dodatkowe 1500 dolarów rocznie za wyłączny dostęp do miejskich zasobów uryny. W Bengbu sekretarz partii i jego zastępca wyciągnęli z jego firmy 25 tysięcy dolarów w ramach większej kampanii zmuszania prywatnych firm do płacenia łapówek. Partia już nie nazywała prywatnych przedsiębiorców „kapitalistycznymi wyzyskiwaczami” – teraz traktowała ich raczej jak podręczne bankomaty bez dna, z których można było wyciągać wciąż nowe sumy na utrzymanie aparatu partyjnego.

Pewnej jesieni, kiedy odwiedziłem Zhou w Bengbu, wziąłem udział w hałaśliwym obiedzie w towarzystwie jego i jego współpracowników. Był wśród nich także współnik Zhou, Sheng Hongyuan.

Piliśmy tylko butelkowaną wodę. Zbliżało się właśnie jesienne święto zbiorów – Zhongqiu, ale Sheng, który właśnie wrócił z biura, nie był w świątecznym nastroju. Tego popołudnia w jego gabinecie pojawiło się kilku członków władz lokalnych, żądając łapówek z okazji święta. Zmusili Shenga do otwarcia sejfów, w których leżała równowartość ośmiuset dolarów. „Może być” – powiedział najwyższy rangą urzędnik wyciągając rękę. Sheng wręczył mu pieniądze.

Początkowo myślałem, że Sheng – gadatliwy człowieczek o krzywym uśmiechu, noszący wytarte ubrania i dziurawe buty – nie jest współnikiem Zhou, ale jednym z jego pracowników. „Ha, ciebie też nabrałem – odparł ze śmiechem. – Specjalnie tak się ubieram. Gdybym był elegancko ubrany, okradaliby nas jeszcze częściej i żądali więcej”.

Z tego samego powodu Sheng zawsze parkował swój samochód na terenie instytutu, w którym wykładał Zhou. Gdyby partyjni działacze wiedzieli, że w ogóle stać go na samochód, na pewno zmusiliby go do płacenia im większych sum.

Jednak mimo wszystkich narzekania na skalę korupcji Zhou i Sheng radzili sobie bardzo dobrze. Unikali płacenia podatków, obchodzili przepisy dotyczące ochrony środowiska, a swoim pracownikom płacili grosze. Zapytałem nawet Zhou, czy zgodziłby się na płacenie normalnych podatków w zamian za możliwość skończenia z łapówkami i wymuszaniem pieniędzy. „Nie – odparł po chwili namysłu. – Gdybyśmy musieli płacić podatki, oddawalibyśmy władzom znacznie więcej niż teraz”.

Po 1998 roku sytuacja finansowa Zhou poprawiła się. Jego firma produkowała miesięcznie około dziewięćdziesięciu kilogramów surowca. Zapotrzebowanie zagranicznych firm na leki produkowane z enzymów z uryny nie zmieniło się, natomiast w samych Chinach zamówienia na leki nasercowe rosły w nieprawdopodobnym tempie. Dieta przeciętnego Chińczyka zawierała coraz więcej tłuszczów (co także było skutkiem rozwoju gospodarczego), toteż choroby serca stały się najczęstszą przyczyną śmierci, prześcigając nawet nowotwory. Z drugiej strony, coraz więcej domów miało już własną kanalizację – a to oznaczało, że mniej ludzi używało publicznych toalet, więc coraz trudniej było o surowiec. W latach 80. i 90. mieszkańcy Bengbu pozostawiali codziennie w publicznych szaletach dwadzieścia dwie

tony uryny. W roku 2004 ilość ta spadła o połowę i z roku na rok jest coraz mniejsza.

Jednak Zhou nauczył się już zarabiać pieniądze w strasliwym chaosie chińskiego kapitalizmu. Wiedział jak działać szybko i zdecydowanie – na przykład, gdy na jego teren usiłowała wejść konkurencja i Zhou musiał jechać całą noc, żeby wręczyć dodatkową łapówkę lokalnemu urzędnikowi. Wiedział też, kiedy przyczać się i czekać na właściwy moment.

W 2003 roku jeden ze współników, który od ośmiu lat był winien Zhou 60 tysięcy dolarów, spłacił połowę długu. Zhou za 27 tysięcy kupił sobie białego volkswagena Bora. Jeszcze w tym samym roku stał się także właścicielem przestronnego, liczącego niemal 170 metrów kwadratowych mieszkania w Nankinie, w budynku położonym dokładnie naprzeciwko północnej bramy Nandy. Mieszkanie należało wcześniej do wysokiego rangą członka partii, który został oskarżony o korupcję – wymuszanie pieniędzy od producenta czajników – i skazany na dziesięć lat więzienia.

Zhou kupił jego mieszkanie na aukcji, za 110 tysięcy dolarów w gotówce (kredyt hipoteczny można było dostać tylko na mieszkanie z rynku pierwotnego) – miało być prezentem dla kobiety, z którą chciał się ożenić. Jego poprzedni romans skończył się kilka lat wcześniej, bo Zhou nie zdołał zdobyć pieniędzy potrzebnych jego przyjaciółce na wypłatanie się z poprzedniego małżeństwa. Nowa przyjaciółka o imieniu Beibei – zresztą jego była studentka z Instytutu Finansów i Handlu Prowincji Anhui – kiedy tylko zobaczyła mieszkanie, natychmiast zgodziła się za niego wyjść.

W połowie lat 90. Zhou – wówczas jeszcze żonaty z Lin Fei – zwrócił uwagę na Beibei w czasie jednego z prowadzonych przez siebie wykładów. Spodobała mu się jej jasna cera i błyszczące oczy. Zaprosił ją do swojego gabinetu i dał kilka książek do czytania po zajęciach. Był od niej starszy o dwadzieścia dwa lata – sama często mówiła, że wygląda raczej na jego córkę niż przyjaciółkę – ale nikt nie przejmował się taką różnicą wieku. Wiele kobiet w poszukiwaniu finansowej stabilizacji i namiastek ojcowskiej miłości w społeczeństwie rozbitych rodzin wiązało się ze starszymi mężczyznami. Związki wykładowców ze studentkami czy dyrektorów z sekretarkami były coraz częstszym zjawiskiem. W miastach na południu całe nowo budowane osiedla

stawały się „miasteczkami drugich żon”, zamieszkiwanymi głównie przez kochanki i utrzymanki zamożnych biznesmenów i skorumpowanych urzędników państwowych.

Ale Beibei nie zamierzała zostać niczyją utrzymanką.

Zhou i Beibei spotykali się ze sobą jeszcze w czasie jej studiów. Pięć lat później, w 2003 roku, pobrali się mimo sprzeciwów ze strony jej rodziny. W dniu ślubu ona miała dwadzieścia osiem lat, on – pięćdziesiąt. Wkrótce potem Beibei spełniła swoje wielkie marzenie: poszła do ortodonta, który założył na jej zęby aparat korekcyjny.

Zhou bardzo podobała się ta sytuacja: on, dziecko z zapadłej chińskiej wsi, śpi w ogromnym łóżu zajmowanym niegdyś przez skorumpowanego partyjnego barona. Podobało mu się także to, że poprzedni właściciel mieszkania urządził je w stylu typowym dla chińskich nowobogackich: ogromne, obite skórą kanapy (wciąż jeszcze zawinięte w folię) i żyrandole ze zdobionego, wielokolorowego plastiku.

W czasie jednej z wizyt Zhou zaprosił mnie do gościnnej łazienki, gdzie teatralnym gestem pokazał mi prysznic, w którym zmieściłoby się łóżko dla czterech osób. Wiedziałem, że chińscy urzędnicy państwowi lubią bogato urządzone łazienki – i trzeba przyznać, że i ta w pełni tę skłonność potwierdzała. Urzędnik kazał tu między innymi zamontować Toto Washlet – japoński sedes reklamowany jako niewymagający używania papieru toaletowego. Po jednej stronie muszli klozetowej znajdował się ruchomy panel z mnóstwem przycisków i pokręteł, przypominający pilota do telewizora. Zacząłem bawić się przełącznikami. Z miski poleciał strumień chłodnej wody, a potem podmuch ciepłego powietrza, jak z suszarki do rąk. Zhou przyznał, że musiał nauczyć się obsługiwać toaletę metodą prób i błędów, bo wszystkie przyciski opisane były po angielsku.

Zhou dzielił swój czas pomiędzy Nankin a Instytut Finansów i Handlu Prowincji Anhui, gdzie wciąż jeszcze nauczał zasad marksizmu – ale czuł się coraz bardziej zmęczony swoim „starym życiem” i coraz mniej chętny do podporządkowywania się linii partii. Co roku kilkoro studentów – najczęściej były to osoby ubiegające się o członkostwo w partii – podawało w wątpliwość jego lojalność wobec KPCh i Chin. To samo działo się zresztą w całym kraju: studenci okazywali się być coraz bardziej konserwatywni. Choć ich poglądy na tematy społeczne stawały się bardziej liberalne – aż do akceptacji

seksu przedmażeńskiego i homoseksualizmu – reprezentowali także prymitywny, odruchowy nacjonalizm, który kazał im w pełni akceptować linię partii.

W 2002 roku sekretarz partii w instytucie otrzymał donos napisany przez jednego ze studentów Zhou. Ośmiostronicowy elaborat szczegółowo opisywał „przestępstwa przeciwko partii” i zawierał systematyczną krytykę Zhou jako jednostki „antypartyjnej” i „antymaoistycznej”. Autor raportu posunął się do tego, że wyliczył jaką część czasu Zhou poświęcał na krytykowanie partii (85%), a jaką na chwalenie partii (10%) i na wypowiedzi neutralne (5%). Szczególną uwagę gorliwy student poświęcił wykładowi, który wygłosił Zhou w 1999 roku tuż po tym, jak amerykańska rakieta typu cruise zniszczyła ambasadę chińską w Jugosławii, zabijając trzy osoby. Amerykański atak okazał się wówczas dla chińskich władz darem niebios, bo przydarzył się tuż przed rocznicą masakry na Tian’anmen. W całych Chinach tysiące studentów demonstrowało – legalnie! – tym razem nie krzycząc „precz z partią”, ale „precz z amerykańskim imperializmem!”. Ambasada amerykańska w Pekinie została obrzucona kamieniami i farbą, a konsulat w Chengdu podpalono. Tymczasem Zhou w czasie wykładu kpił ze studenckiego oburzenia. „Wasz gniew nie jest szczery! – mówił. – Wiem dobrze, że każdy z was sprzedałby go bez namysłu za amerykańską wizę”.

Sekretarz partii wezwał Zhou do swojego gabinetu, gdzie oprócz niego czekało jeszcze trzech jego zastępców. Zhou dostał do ręki tekst, który został wcześniej przepisany, aby chronić tożsamość donosiciela.

– Co tu się dzieje? – zapytał sekretarz. – Masz nauczać myśli marksistowskiej i maoizmu. Twoje zajęcia są niezwykle ważne w procesie kształcenia naszych studentów. Jeśli nie zrozumieją dobrze założeń marksizmu i maoizmu, nie będą mogli być dobrymi obywatelami Chińskiej Republiki Ludowej! – oznajmił, po czym rozparł się na krześle i czekał na reakcję Zhou. Ale Zhou milczał.

– Czy zmienisz swoje postępowanie i sposób prowadzenia wykładów? – zapytał sekretarz. – Jeśli nie, to nie będziesz mógł więcej wykładać maoizmu.

Zhou powiedział, że nie wydaje mu się, żeby jego wykłady były szczególnie „antypartyjne” czy „antymaoistyczne”, ale sekretarz nie wyglądał na przekonanego. Oznajmił, że Zhou nie będzie więcej

wykładał maoizmu, ale zostanie przeniesiony do pracy w dziale administracyjnym uczelni. Zhou wyszedł z jego gabinetu, kręcąc głową. „Studenci, kiedy już dostaną się na uczelnię, przestają się uczyć – tłumaczył mi kiedyś. – Oszukują, przepisują prace”.

A jednak znalazł się student, który cierpliwie i twórczo napisał osiem stron krytyki jego sposobu nauczania...

„Długo zastanawiałem się, dlaczego to zrobił – powiedział później Zhou. – Może naprawdę myślał, że jestem »antymaoistyczny«... Ale najprawdopodobniej chciał po prostu w ten sposób pokazać, że byłby dobrym członkiem partii. Coraz częściej myślę, że te dzieciaki mają jeszcze mniej zasad niż my w ich wieku”.